



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Nieprzyjaciel się zbliża!

Pogadanki z dziedziny chemii.

IX. Jakie pierwiastki chemiczne mają największą skłonność do siebie.

Przypatrując się bacznie powyższemu szeregowi, dostrzegamy, że stojące w nim obok siebie pierwiastki są podobne; najmniej podobnymi zaś są te, które zajmują początek i koniec.

Przedzielnym ten łańcuch na dwie części w miejscu, gdzie stoi wodór, to wtedy jedna połowa będzie zawierała metale, druga zaś pierwiastki najmniej podobne do metalu, jak np. tlen, chlor, siarka, fosfor.

Ponieważ jednak właśnie pierwiastki z jednej połowy najchętniej i najłatwiej tworzą związki z pierwiastkami drugiej połowy, przeto od razu rzuca się nam w oczy, że w chemii to, co do siebie nie podobne, przyciąga się wzajemnie, a co podobne zachowuje się obojętnie.

Najsilniejsze powinowactwo chemiczne zachodzi pomiędzy tlenem i potasem, chociaż te dwa pierwiastki nie mają do siebie najmniejszego podobieństwa. Tlen jest rodzajem powietrza, t. j. gazem, czysty zaś potas srebrzystym metalem. I właśnie dlatego, że owe pierwiastki są do siebie tak mało podobne, łączą się ze sobą z taką chęcią, że dość jest pozostawić na powietrzu przez krótki czas kawałek potasu, ażeby ten połączył się z tlenem na bardzo trwałe związku, nazwany potasem gryzącym. Cynk nie przypomina w niczem tlenu, a jednak na powietrzu, które zawiera ten gaz pokrywa się szybko warstewką tlenku cynku; siarka zaś i węgiel łączą się z tlenem nie inaczej, jak za ogrzaniem. Już z tego można wyprowadzić wniosek, że w dziedzinie zjawisk chemicznych czynną jest siła, udzielająca największej skłonności wzajemnej ciałom najmniej do siebie podobnym. I rzeczywiście wniosek taki jest całkiem słuszny, jak tego dowodzą liczne doświadczenia; w chemii ustaliło się prawidło, że najchętniej łączą się pomiędzy sobą substancje o naturze przeciwnej, to znaczy o własnościach różnych.

Zjawisko to, na zasadzie którego największe przyciąganie istnieje pomiędzy najmniej podobnymi do siebie substancjami, jest rzeczywiście uderzającym.

Podobnie jak biegun północny jednego magnesu przyciąga biegun południowy drugiego magnesu, a więc poszukuje magnetyzmu odmiennego, tak samo w chemii jedna substancja przyciąga drugą, jak najmniej do siebie podobną, nie okazując skłonności do łączenia się z podobną do siebie. Tak samo elektryczność dodatnia przyciąga elektryczność ujemną.

Już to prowadzi na domysł, że jedna i ta sama przyczyna działa we wszystkich powyższych siłach przyrody. Zdaje się, że wszędzie, gdzie występuje jakaś siła w przyrodzie, tam natychmiast zjawia się inna siła przeciwdziałająca, i że obie odgrywają jednakowo ważną rolę w zjawisku. W ciałach stałych atomy przyciągają się, ale skoro je za bardzo zbliżymy przez ciśnienie, natychmiast zaczyna na nie działać siła odpychająca, która zniewala je wrócić na dawne miejsce. W olbrzymich przestrzeniach wszechświata ciała niebieskie mają ruch, który je pędzi w nieskończono-

ne odległości i który przeciwdziała skutkom siły przyciągającej t. j. siły ciężenia, usiłującej zgromadzić wszystkie ciała niebieskie w jeden punkt. I właśnie te dwie siły, dające odmienne skutki, współdziałając w pewien sposób, wywołują ruch obrotowy ciał niebieskich w przestworzu.

Czyż więc te wszystkie siły, objawiające się w tak różnorodny sposób, nie są czasem dowodami istnienia jednej ogólnej siły przyrody, rządzącej światem materyalnym?

Wi. U.

Tyho de Brahe.

(Tyge Brahe).

W roku 1560 pewnego razu na ulicach duńskiego miasta Knudsorpu był niezwykle ruch. Ludzie wybiegali z domów, gromadzili się na ulicach i placach, na wszystkich niemal twarzach widniało przerażenie: niektóre zaś tylko wyrażały ciekawość i oczekiwanie. W istocie nastąpić miało za chwilę nadzwyczajne zjawisko, które w jednych, mniej oświeconych, budziło zabobonny strach, w innych zaś, a takich było w owych czasach bardzo niewiele, wywołało tylko żywe zaciekawienie i chęć zbadania jego przyczyn. Tem zjawiskiem oczekiwanem było zaćmienie słońca. Miało ono już wkrótce nastąpić, a zwierzęta wszystkie poczęły się niepokoić gwałtownie, jak gdyby w przeczuciu czegoś okropnego. Psy biegały, stuliwszy ogony, jaskółki jak przed burzą fruwały tu i owdzie niespokojnie, lub też spadały szybkim ruchem nad samą ziemię, inne ptactwo umilkło przerażone.

Te oznaki niepokoju u zwierząt niemało się przyczyniły do zwiększenia trwogi wśród tłumu; niektórzy nawet szeptali, że to zapewne koniec świata się zbliża, kiedy nawet bezrozumne stworzenia strach taki okazują.

Z pomiędzy przerażonego tłumu wyróżniał się czterastoletni chłopak, który najmniejszego strachu nie zdradzał, natomiast przyłożywszy do oczu kawałek zakopconego szkła, aby łatwiej znieść oślepiające promienie słoneczne, z wielką uwagą obserwował zjawisko, które właściwie tylko co się rozpoczęło. Dopiero sam brzeżek słońca został zaćmiony, potem cień zaczął się posuwać coraz dalej, aż wreszcie zakrył większą część słońca, tak że wyglądało ono teraz jak księżyc na nowiu. Ciemno się zrobiło nagle i zerwał się gwałtowny wicher, psy w całym mieście zaczęły wyc przeraźliwie, bydło bojaźliwie ryczało, a ludzie w wielkiej trwodze padali na kolana i wznosili ręce do nieba, na którym ukazały się gwiazdy, jak w nocy. Chłopiec tylko, nie zważając na te oznaki przerażenia, dalej obserwował zjawisko z zimną krwią zadziwiajączą w jego wieku.

Zaćmienie słońca się skończyło; tłumy rozeszły się do domu, gwarząc po drodze, ale już uspokojone, ponieważ się przekonały, że zjawisko nie przyniosło żadnych złych następstw. Jeden tylko młody chłopak pozostał jeszcze na placu, a na twarzy jego znać było jakąś myśl głęboką. Wreszcie i on skierował się w boczną ulicę i znalazł się niebawem przed dużym, murowanym domem, który należał do jego rodziców. Wszedł do obszernej komnaty, gdzie się znajdowała cała rodzina, składająca się z ojca, matki, dwóch sióstr i wuja. Wszyscy siedzieli przy stole, na który tylko co podano obiad.

— Gdzieżeś był, Tyge? Pewno na placu razem z tymi próżniakami, co poszli gapić się na zaćmienie? — zapytał ojciec, patrząc na syna, który stanął we drzwiach, trzymając jeszcze w ręku kawałek szkła zakopconego.

— Wyrzuć to szkło! zawołała matka, patrz, posmoliłeś sobie ręce, jeszcze obrus powalasz. To rzekłszy

chciała mu odebrać z rąk szkło, lecz Tyge usunął je mówiąc błagalnie:

— O, mamo, nie zabieraj mi tego szkła, ledwie się wystarałem o nie!

Trzeba bowiem wiedzieć, że w owych czasach nie było tak łatwo o szkło, jak dzisiaj; było ono rzeczą bardzo cenną i rzadką.

— Cóż z nim chcesz czynić? spytał wuj z uśmiechem.

— Przyda mi się do różnych obserwacji na niebie, odrzekł chłopiec z powagą.

— Czyś ty chłopcze zwaryował — zawołał ojciec rozgniewany. — Czego tam będziesz szukał na niebie? No czego, powiedz!

— Ojcie drogi, ja dziś postanowiłem sobie, że zostanę astronomem i będę badał drogi gwiazd — rzekł chłopiec ze stanowczością w głosie.

— A ja ci powiadam, że jeżeli na rok przyszedł nie pójdziesz na studia prawne i nie zostaniesz porządnym prawnikiem, tak, jak to już oddawna zostało postanowione w rodzinie, to ja cię wydziedziczę, jak Bóg na niebie.

Tyge spuścił głowę w milczeniu, ale na twarzy jego widać było wolę nieugiętą. Ulegając życzeniu rodziny, wstąpił niebawem rzeczywiście na wydział prawny, ale nie długo tam przebywał; zamiłowanie do astronomii nieprzełknięcie ciągnęło go ku sobie. Zamiast studiom prawniczym, oddawał się studiom i wyrachowaniom matematycznym, i wkrótce zaprzestał zupełnie uczyć się na wykładach prawa, lecz z zapalem oddał się ulubionej nauce. Widząc to, ojciec odmówił mu wszelkich zasiłków i tylko matka pocichu wręczała mu skromną kwotę, przeznaczoną na jego utrzymanie, którą on jednak w większej części obracał na zakupienie potrzebnych materiałów do sporządzenia narzędzi astronomicznych. Sam nawet wynalazł narzędzie, zwane sekstantem, i z czasem zreformował zupełnie sztukę obserwacyjną. Niebawem jednak doznał prześladowań od własnych ziomków, którzy w obserwacjach jego astronomicznych widzieli coś karygodnego, jakieś czarodziejskie sztuki; rozżalony tem Tyge Brahe wyjechał zagranicę, do Bazylei, tam poznał go i ocenił książę heski, Wilhelm, który postanowił pogodzić go z własną ojczyzną. W tym celu czynił starania u króla duńskiego, Fryderyka II, który na jego prośby podarował Brahemu wyspę Hween, gdzie ten założył obserwatorium astronomiczne i nazwał je Uranienborgiem. Z całej rodziny jeden tylko wuj, Sten Bille, sprzyjał zawsze jego pracy i nawet pomagał mu niejednokrotnie. Ale po śmierci króla Fryderyka wstąpił na tron Chrystyan IV, na którego wpływ mieli nieprzyjaciele Brahego; rozpoczęły się więc znów prześladowania, niebawem astronom musiał opuścić wyspę Hween i zbudowane tam obserwatorium, zmuszony był znów wędrować w cudze kraje. Przyjął go bardzo gościnnie światły cesarz austriacki, Rudolf II i zaprosił na stałe do Pragi. Tu Tyge oddał się swym pracom astronomicznym; układał przytem katalogi gwiazd, i odkrył wprawdzie jeszcze nową gwiazdę w konstelacji Kassiopei; obserwacje jego tem są godniejsze uwagi, że wówczas nieznano jeszcze lunety. Tutaj także zaprzyjaźnił się z młodzieńcem, który miał później zająć wielką sławą i zaćmić nawet swego mistrza: był to przyszedł sławny astronom, Kepler. Mówią, że nawet Tyge Brahe (którego z łacińska zwano Tycho de Brahe) tak zgorzkniał w skutek prześladowań, jakich doznał od własnych ziomków, że stał się zazdrosnym o zasługi Kopernika i nie chciał ich uznać. To by nam tłumaczyło dziwny fakt, że zrazu uwierzył w system Kopernika i wykładał nawet według niego, później zaś go odrzucił, i począł głosić, że ziemia znajduje się w samym środku naszego systemu planetarnego, a słońce wraz ze wszystkimi planetami krąży dokoła niej.

Jednakże twierdzenie to z drugiej strony zdaje się nieprawdopodobnym, gdyż pomimo, że Brahe odrzucił system Kopernika, wszakże pozostały po nim dwa piękne

wiersze na cześć polskiego astronoma. Z jednego z nich przytaczamy wyjątek.

„Takiego męża ziemia przez wiekowe chwile
Wydać nie w sile,
Niebo go urodziło uczyć ród człowieczy
Niebieskich rzeczy...
On zachwiał całe niebo prawami wiecznymi
Słońce kazał zatrzymać i kazał biedz ziemi,
Księżycowi wskazał, gdzie mu być potrzeba,
Przekształcił oblicze nieba”

Tyge Brahe napisał ten wiersz w jednej chwili, przejęty myślą o wielkości Kopernika. Po przeczytaniu tego utworu trudno go posądzić o niską zazdrość.

Brahe umarł w r. 1601, w zeszłym więc roku w Pradze Czeskiej obchodzoną była trzechsetletnia rocznica jego zgonu.

M. Ł.

Sofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

— Alusia! — krzyknął pełen niepokoju.
— Alusia zdrowa — odparł doktor — ale... ale...
— Co to jest? Co się stało? Moja żona...
— Zemdlała przed chwilą. Cucimy ją...
— Ale dla czego? Czy chora?
— Chora... Zdziś... Józio...
— Zdziś i Józio chorzy?
— Tak... to jest...
— Nie żyją?
— Żyją jeszcze...
— Ale są tak źle? Było konsylium? Sprowadziliście doktorów?
— Tak jest.
— Maniu! — zawołał pan Zabrzski, rzucając się na kolana obok zemdłej żony — Maniu!

Pani Zabrzka otworzyła powoli powieki, jakby się ze snu budziła, lub jak gdyby jej duch z jakichś oddalonych krain powracał. Spojrzała na męża nie poznając go i dopiero po chwili zarzuciła mu ramiona na szyję, wołając:

— Waclaw!

Otworzyły się drzwi od salonu. Stojący w nich kaptan mówił wzruszonym głosem:

— Pomódlmy się razem, a potem chorzy przyjmą Przenajświętszy Sakrament.

Obecni weszli do salonu, a wkrótce za nimi wsunęli się po jednemu ci ze służących, którzy pragnęli się pomodlić wspólnie z rodziną Zabrzskich. Wszedł więc Michał, Antoni, Wojciech i inni. Klękali przy drzwiach, czekając na wielki akt podania chorym Przenajświętszego Sakramentu. Tymczasem pan Zabrzski zbliżył się do łóżka Zdzisia, który głosem rozdierającym, pełnym wewnętrznej trwogi i bólu, zawołał:

— Tatuńciu! Niech nas tatuńcio ratuje!

Pan Zabrzski jęknął, jak gdyby go przygniotło brzemieniem nad jego siły, a Józio swym niewyraźnym głosem ozwał się z wymówką:

— Zdzisiu, ty zadajesz ból tatuńciowi!

Nie rozumiał biedny Józio, że niemniejszą boleść zadawał ojcu on sam swym widokiem i dźwiękiem głosu,

w którym nie można było wcale odnaleźć dawnego, miłego, słodkiego głosu Józia.

W tej chwili przyszedł na biedaka taki straszny atak duszności, iż obecni myśleli, że to koniec.

Ale razem z tym atakiem, który dreszczem przebiegł wszystkich obecnych, z ust Józia buchnęła ciecz z krwią pomieszana, a utrudniony oddech stał się łatwiejszy.

— Wrzód pękł! — krzyknął doktor z radością najwyższą.

Pan Zabrzęski, który nie mógł płakać, gdy cierpiał, teraz przy nagłym błysku niespodziewanej nadziei, ryknął głośnym łkaniem.

— Wrzód, to był wrzód! — powtarzał doktor. — Chwała Bogu, myliłem się! Brałem to za dyfterytyczne błony, zalegające krtań, a to był wrzód! Zaraz zrobimy płókanie.



Tycho de Brahe.

— Będzie żył? — zapytał profesor, który w łkaniu wtórował panu Zabrzęskiemu.

— Nie wiem... ale w każdym razie minęła obawa natchmiastowego końca. Kto wie? Pan Bóg czyni cuda!

XXV.

Z powodu wrzodu Józio nie przyjął dnia tego przynajświętszego Sakramentu. Kapłan podał go tylko Zdzisłowi, który będąc świadkiem rezygnacji Józia i pani Zabrzęskiej, uczuł i w sobie mężtwo i chrześcijańskie poddanie się woli Bożej. Pomyślał o męczennikach, którzy szli na śmierć dobrowolną i tą myślą ukrzepił i podniósł w sobie ducha. Zwyciężył samego siebie.

Józio usnął. Już od tak dawna oka nie zmrużył i namęczył się tak strasznie ostatnimi chwilami dojrzwania wrzodu, że teraz spał bardzo twardo. Rodzice, doktor, profesor, nie opuszczali chłopców, felczer chrapał w przyległym pokoju, Zdzisł uspokoił się znacznie, ale nie spał. Była noc i cisza w koło.

— Tatuńcio! — szepnęła Zdzisł.

— A co, dziecko moje?

— Wie tatuńcio, ja się strasznie bałem. Teraz przestałem się bać i lżej mi jest. Jabym chciał tatuńcia trzymać za rękę.

— Dobrze, moje kochanie, będziemy się trzymali silnie za ręce, to nam obu będzie różniej.

— A Józio?

— Józio śpi.

— Ale jeszcze nie umarł?

— Nie, Józio żyje.

— Dobrze, że na mnie poczekał.

Zdzisł rękę ojca silnie przycisnął do piersi, które parzyły jakby ogniem. Serce kołatało mu w piersi prędko i mocno. Dopiero pod ranek gorączka spadła nieco i twarz Zdzisł zbladła.

Józio budził się chwilkami, otwierał oczy, spoglądał na matkę i zasypiał na nowo. Uśmiechnął się do matki. Czuł się lepiej ale nie śmiał tego powiedzieć matce, by jej nie dać fałszywej nadziei.

— Chciałbym... chciałbym... — ozwał się cicho, zmęczonym głosem — mam coś do powiedzenia panu profesorowi.

— Co chcesz ode mnie, Józiu? Jestem tutaj.

Józio objął pana Chlewiatkę za szyję i cichutko do ucha mu szepnął:

— Zdaje mi się, że mi trochę lepiej i... i jeść mi się chce.

Trudno sobie wyobrazić radość profesora. Pobiegł do szafarki, przyniósł świeżo przegotowane mleko i wszyscy obecni patrzyli ze łzami radości na pijącego je Józia. Doktor powiedział:

— Można by jajko na miękko.

— Jajko? Sosinieckiego niema... kucharka je z pewnością ugotuje na twardo... chyba ja sama pójdę... — mówiła pani Zabrzęska.

— Pani zmęczona i bezsilna — odparł profesor — zresztą niech pani zostanie przy Józiu. Ja ugotuję jajko.

I poczciwy pan Chlewiatko, po raz pierwszy w życiu, wzięwszy książkę kucharską w jedną rękę a w drugą zegarek, ugotował tak znakomicie jajko na miękko, że można je było wystawić jako wzór nie mający sobie równego.

Stan Józia polepszał się ciągle. Chłopiec odzyskałszy sen i apetyt, począł dzielnie walczyć z pozostałymi jeszcze resztkami choroby. Młodość stanęła po jego stronie i walczyła z nim razem. Codziennie stawiał duży krok ku zupełnemu wyzdrowieniu. Ze Zdzisłiem nie szło tak łatwo. Długie tygodnie doktor łamał sokie głowę nad środkami, które jeszcze zastosować by można, a nie śmiał rodzicom powiedzieć wyrazu, który już czasem sam sobie szeptał z dreszczem trwogi i nadziei zarazem: „uratowany.”

Ale już Zdzisł sam miał nadzieję i uparcie powtarzał, że byłby umarł ze strachu, gdyby nie przykład mężtwo Józia. Teraz nie bał się nic, był gotów na wszystko. Bogu oddawał siebie i swoje losy.

Wreszcie i u niego nastąpił stanowczy zwrot ku lepszeniu. W całej rodzinie panowała cicha radość i ogromna wdzięczność dla Boga. Panna Four, Zosia i Jańcio wrócili z Wólki Suchowskiej, gdy się państwo Zabrzęscy dowiedzieli, że Jańcio przebył tam szkarlatynę. W Suchowie ukazały się znowu na stole ozdobne i wykwintne dania Sosinieckiego i cały tryb domowy wracał powoli do dawnego porządku. Tylko chłopcom doktor uczyć się jeszcze nie pozwalał, więc tłumaczenie Odysei ogromne czyniło postępy, a pan Chlewiatko był bardziej roztargniony niż kiedykolwiek. Wreszcie zabrano do nauki Józia, młodszego i mniej zdolnego, a Zdzisł trudniej przychodzący do zdrowia, wygrzewał się jeszcze na słońcu i próżnował zapamiętale. Obiecywał jednak, że jak tylko siły zupełnie mu porwóca, to się będzie uczył bez pamięci.

Szczęśliwa teraz rodzina otrzymała od Stwórcy jedno jeszcze szczęście wielkie i niespodziane, jedno jeszcze uzdrowienie cudowne. Pani Zabrzęska w swej wdzięczno-



Król Edward VII-my, w stroju koronacyjnym (str. 272).

ści dla Boga za ocalenie dzieci, znalazła nową siłę do życia. Przestała lękać się wszystkiego, przestała drzeć przed szkarlatyną, odżyła, rumieńce i uśmiech zawitały na jej oblicze, ręce były mniej wychudzone, kształty jej poczęły się zaokrąglać. Tak żywo czuła szczęście posiadania tego, co jej Pan Bóg dał, że przestała rozpaczać nad tem, co utraciła. Pan Zabrzski nie mógł się dość nacieszyć stanem żony. Myślał, że cierpienie jej było nieuleczalne, a przekonął się, że wracała do zupełnego zdrowia.

XXVI.

W końcu czerwca doktor oświadczył, że i Zdziś już do nauki wziąć się może. W szkolnym pokoju praca poczęła iść

wytrwale i gorąco, bo egzamina były za pasem, a chłopcy do szkół je zdawać mieli. Profesor podwajał trudy, przedłużał godziny lekcy i miał nadzieję, że Zdziś i Józio nie zrobią mu wstydu.

Jego też zapewne zasługą było, że chłopcy zawiezieni do Lublina, zdali obadwaj egzamin na piątkę. Profesorowie gimnazjalni znaleźli, że obadwaj byli rozwinięci, przytomni, doskonale przygotowani i sympatyczni. Zostali umieszczeni u jednego z nauczycieli, który ich polubił bardzo.

Na serdeczne zaproszenie pana Zabrzskiego, profesor Chlewiatko powrócił jeszcze na cały miesiąc do Sucho

wa dla wypoczynku i ukończenia ostatniej pieśni Odysei. Pracował nad swem dziełem po kilka godzin na dzień, lecz im było bliższe końca, tem poczciwemu profesorowi smutniej było na sercu. Był bliskim chwili, w której musiał pożegnać rodzinę, do której się przywiązał, dzieci, które go kochały i iść w świat samotny i bezdomny, szukać kawałka chleba, szukać obcego ogniska, przy którym mogło mu nie być tak ciepło i dobrze jak w Suchowie; mógł nie znaleźć dobrych i miłych chłopców, jakimi byli Zdziś i Józio. Smutna jest dola człowieka rzucanego przez los jak piłka w różne obce rodziny, od których po pewnym czasie, trzeba odrywać serce, które do nich przyrosło!

Cała rodzina Zabrzeskich cierpiała także nad rozstaniem. Każdy z jej członków po swojemu okazywał swój żal profesorowi. Zosia oświadczyła, że miała do niego wielką prośbę. Z powodu jej wyraźnego życzenia mówił jej już od jakiegoś czasu „ty.” Odpowiedział:

— Wszystko co każesz, Zosiu. Nie możesz chcieć ani nic złego, ani nic nierozsądnego, więc ci przyrzekam, że spełnię twoje żądanie.

— Mówcie po francusku! — zawołała w swoim języku, obecna tej rozmowie panna Four.

— A więc — rzekła Zosia po francusku — pan profesor musi mi przyrzec, że gdy go praca zmęczy za nadto, lub gdy starość nie dozwoli mu już zajmować się nauczaniem, powie mi to szczerze. Wtedy uproszę moich rodziców lub mego męża, jeżeli go mieć będę, i otoczę zmęczone i starość pana profesora opieką i przywiązaniem.

Profesor był tak wzruszony, że ze łzami uściskał Zosię, pannę Four zaś coś w tej rozmowie się nie podobało, bo wyszła widocznie nadąsana.

— Znowu ją mój akcent wystraszył — rzekł pan Chlewiatko.

— Kiedy pan profesor ani słowa nie przemówił!

— A prawda! Znowu byłem roztargniony!

Jańcio miał też ważne powody zatrzymywania profesora w Suchowie.

— Pan nie może wyjeżdżać! — mówił błagalnie, swoją puszystą, jasną główkę tuląc na ramieniu profesora.

— Muszę, moje dziecko. Bez pracy żyćbym nie mógł.

— Pan nie będzie widział, jak ja rosnę i jak Paździorek rośnie!

Państwo Zabrzescy wymogli od profesora przyrzeczenie, że co rok na jakie święta lub podczas wakacji do Suchowa przyjeżdżać będą.

Zauważono, że w dniu wyjazdu pan Chlewiatko był nietylko zamartwiony rozstaniem, ale jeszcze zamyślony i dziwnie nie swój. Pan Zabrzeski myślał, że odczytał tłumaczenie Odysei, i że je uznał za błędne.

— Profesorze kochany — ozwał się, wzięwszy go na stronę — pan ma coś na sercu. Możeby pan doznał ulgi, zwierając swój kłopot przyjacielowi.

— Kłopot bym zniósł lżej — odparł profesor — ale niepewność... nie wiem doprawdy jak postąpić.

— Może ja, który jestem dość praktyczny, znalazłbym na to radę?

— A więc powiem. Panna Four chce koniecznie, że bym się z nią ożenił.

— Panna Four?... Żeby się profesor z nią żenił?

— Tak. Wezwała mnie wczoraj wieczorem do siebie i oświadczyła mi, że jesteśmy dwojgiem ludzi samotnych, że oboje mamy dużo serca, że oboje tęsknimy do własnego ogniska, i że to ognisko rozpalimy sobie we dwoje. Chciałem protestować, chciałem jej wytłumaczyć, że w naszym wieku małżeństwo jest chyba śmieszne, ale ona mi powiedziała z gniewem, że nie.

— Więc pan nie chce panny Four za żonę?

— Nie mam żadnej ochoty... rozumiem dobrze, że nie jesteśmy wcale stworzeni dla siebie... ale... ale... nie ośmielię się nigdy powiedzieć jej tego, bo czuję, że uczyniłbym jej tem wielką przykrość.

— Kochany profesorze! — zawołał pan Zabrzeski. Odważny i silny gdy chodzi o sprawy bliźnich, a miękki do słabości w sprawach własnych! — Jeżeli pan chce, pomówię z panną Four.

Nie pomogły jednak przekładania pana Zabrzeskiego.

Pani Zabrzeska usiłowała też przekonać pannę Four, ale potem zauważyli, że może istotnie będzie to połączenie dla praktycznej i zacnej, choć upartej Francuski z profesorem, dla obu pożytecznym w dalszem ich życiu, namawiali więc pana Chlewiatkę i zaproponowali, by ślub odbył się w Suchowie, co było łatwiejszym i tańszym sposobem. Odłożono go do świąt Bożego Narodzenia, by Zdziś i Józio na nim być mogli, gdyż wszystkie dzieci bardzo o to prosily.

Odbył się 4-go stycznia 1899-go roku. Sama ceremonia była poważna, a i państwo młodzi bardzo poważnie się przedstawiali. Profesor we fraku i w białym krawacie był nie swój i jakby złapany, panna Four w prześlicznej białej toalecie, przysłanej prosto z Paryża, wyglądała jak w przebraniu.

Wieczorem wszystkie dzieci oświadczyły, że nie mogło być wesela bez tańców. Pani Zabrzeska siadła więc do fortepianu i zagrała walca. Pan Zabrzeski, sławny niegdyś tancerz, ukłonem zaprosił Zosię, Zdziś wziął Alusię nie bardzo chętnie, bo ją miał za dziecko, a siebie za młodzieńca, Józio uległ prośbom Jańcia i począł się z nim kręcić. Widząc tę ochotę, profesor, któremu jakoś lżej było na sercu po postawieniu kroku stanowczego, poprosił swą wystrojoną żonę, by zechciała z nim zatańczyć. Spojrzała na niego z niedowierzaniem, lecz że była dnia tego w doskonałym humorze, więc raczyła się zgodzić, jednak poczuła, że za ledwie *pas* walcowe rozumiał, że o prowadzeniu w tańcu nie miał żadnego pojęcia. Wzięła więc odrazu ster obrotów na siebie i doprowadziła do tego, że bez szwanku dla nikogo w koło salonu w walcu obiegli. Zdyszani oboje, gdyż siwiejące włosy walca nie lubią, usiedli obok siebie.

— Ja mego męża i w życiu potrafię tak poprowadzić, jak goż w tej chwili prowadziłam w tańcu — mówiła uprzejmie profesorowa.

Profesor spojrział z pewnym przestachem na swoją przedsiębiorczą małżonkę. Czuł, że się boi przyszłości i na rozpogodzone na chwilę czoło jego, wypłynęły znowu chmury.

— Ale mój mąż musi być wesół — rzekła z czarującym uśmiechem profesorowa. — *Chez nous à Paris...*

Pan Zabrzeski w tej chwili skończywszy walca z Zosią, schylił się do ucha grającej żony:

— Oj, pewnie profesorowa przewodzić będą w domu.

— Jaka profesorowa?

— Przecie trudno, żebym ją panną Four nazywał, skoro nią być przestała.

Stało się tak rzeczywiście, że w nowo związanem stadle, jak w walcu, tak we wszystkich sprawach życia codziennego z wyjątkiem bardzo ważnych, ster w rękę miała pani Chlewiatkowa. Ale okazało się, że profesorowi było z tem doskonale. Bywała kapryśna i nerwowa, czasem nie mogła znieść wymowy francuskiej męża, za to myślała o wszystkich jego potrzebach i otaczała go przywiązaniem. On był zawsze dobry, bez cienia egoizmu. W chwilach trudniejszych, by nie drażnić żony złą wymową francuską, pisywał do niej kartki jak do głuchoniemej lub przemawiał na migi.

Państwo Chlewiatkowie mieszkają w Warszawie, gdzie każde na swoją rękę pracuje. Byli już w Suchowie podczas wakacji i profesor zapytany przez pana Zabrzeskiego, ze łzami wdzięczności mówił o swojej żonie:

— Stworzyła mi domowe ognisko... nie jestem już samotny na świecie... mam własny gabinet do pracy, z którego nie będę musiał się wynosić... Moje książki mają swoje

półki i nie będę potrzebował przewozić ich i pakować... Nie będę już zmuszony rozstawać się z rodzinami, do których moje serce przylgło! Eufrozyna dała mi spokój i ład, które są, że tak powiem koniecznymi ramami dla szczęścia. Mam dla kogo żyć i pracować, mam kogo kochać.

K O N I E C .



Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Rozdział XX.

Powrót do kolonii.—Pułapka. — Pogrzebany za życia.—Małpka. Zapalki. — Dukat. — Pargamin. — Chryzostom Dołęga.—Kryzstof Arciszewski. — Głód. — Gorączka. — Nesabil. — Powrót Wojciecha. — Pan Edmund Saporski.



Stefan stał na brzegu bezradny i nieruchomy. Zdawało mu się, że śni.

— Może wypłynie, może zdołam ją wyratować! wołał budząc się z odrętwienia i biegnąc wzdłuż rzeki, ale było już za późno. Zginęło szlachetne dziecko, które wierzyło w dobroć i miłosierdzie białych twarzy, bo samo dobre było i miłosierne.

Zagrzany walką, zmuszony bronić własnego życia, mało Stefan zwracał uwagi na to, że jego broń niosła śmierć w szeregi Burungów. Za to teraz doznał nieprzewidywanego wstrętu na myśl o okrucieństwach wojny. Jechał do Ameryki z zamiarem pracowania z polskimi wychodźcami, ale nie przewidywał, że pierwszy posiew tej pracy będzie zlany krwią.

I nagle zdjął go żal za minioną przeszłością, za wspomnieniami dzieciństwa, za ziemią rodzinną.

— Dlaczego ją opuściłem? Dlaczego przyszedłem tu, gdzie Europejczycy tyle już popełnili okrucieństw, kiedy tylko tam nad Wartą lub Wisłą mogę być szczęśliwy.

Oglądał w Muzeum londyńskim kopię rzeźby Praksytelesa wyobrażającą olbrzyma Antajosa walczącego z Heraklesem, Antojos, syn boga wiatrów Poseidona i bogini ziemi Gai, uważany był w Libii za niezwyciężonego, bo pokonał wszystkich zapaśników, jacy odważyli się stawić mu czoło. Dopiero chytry Herakles odgadł tajemnicę siły Antajosa. Widział, że olbrzym odzyskuje moc, ilekroć dotknie stopą łona matki Gai. Oderwał go więc od ziemi pokonał uniesionego w powietrzu. Gaja nie mogła już użyć sił synowi, to zgubiło Antajosa.

— Bajka, a ile w niej prawdy — myślał Stefan — matka ziemia daje moc, trzymać się jej do ostatniego tchu — owtarzał stęskniony, przypominając sobie słowa proboszcza, który umiał rozgrzać pociechą serce znajdy.

— Ach czemuż odrywamy się od niej! Gdybym mógł chociaż na chwilę odetchnąć tamtejszem powietrzem, usłyszeć szum naszych wierz, świegot skowronków, które też unoszą się nad zielonemi posiewami żytniska!..

Tak myślał Stefan i było mu bardzo ciężko, bardzo źle.

Ale życie nauczyło słusarczyka nie pieścić się. Warda doła hartowała młodą duszę, miała też ona dziel-

ność i sprawność dla pokonania chwilowej zasląbości. Stefan spojrział raz jeszcze na rzekę porośłą kwiatami Wiktoryi Regii, pomyślał z serdecznym współczuciem o młodej Indyance i skierował kroki ku kolonii.

Mijał już właśnie tę część lasu, która graniczyła z uprawnymi polami osady, kiedy zamajaczyło w krzakach kilka ciemnych postaci. Nie był pewny, czy widzi ludzi, czy gromadę psotnych małp.

— Może ogryzały zdeptane badyle kukurydzy—pomyślał.

Spotkanie to uczyniło go jednak baczniejszym. Nie miał broni, mało zresztą mogła mu ona pomódz w ciemnym gąszczu, należało więc zachować wielką ostrożność. Ale kolonia zdawała się już blizką, przyspieszył kroku... i uczył nagle, że grunt usuwa mu się pod nogami.

Nie zdołał odskoczyć w bok, ani schwycić za zwieszające się nad nim liany, nie krzyknął nawet, bo przerażenie zamknęło mu usta. Otworzyła się głąb ziemi i zniknął w niej jak znika mysz w pułapce. Okrutnym był podstęp, którego ofiarą padł biedny Stefan.

Chytry Makusi ustąpił z pola walki, lecz walki tej nie zaniechał. Ukryty w krzakach, czychał na sposobność podpalenia baraków. Chciał wykurzyć z nich nieprzyjaciela i zrabować dobytek. Jego żołnierze kopali tymczasem doły na przejściach lub zakrywali dawniej istniejące, a było to zadanie trudne dla ludzi nie znających użytku żelaza. Botokudowie przechodzą w historii rozwoju epokę nieprzeziurawionych kamiennych naczyń. Przywiązują włóknom roślinnym kamień do drzewca i z pomocą tak pierwotnego narzędzia dokonują zadziwiających prac.

Do takich należało wykopanie jamy, w którą wpadł nasz bohater. Burungowie uprzątnęli się z tem zadaniem bardzo prędko, nie zdążyli tylko zaostrzyć i umocować pali na dnie dołu. Spłoszyło ich zbliżanie się Stefana. Sądził, że osadnicy zrobili wycieczkę i uciekli od rozpoczętej pracy.

Dlaczego Makusi będąc tak blisko rzeki, nie słyszał Sępa wołającego o pomoc? Któż na to odpowie? Zwano go chytrym, mówiono, że zazdrości staremu wodzowi sławy. Zazdrość to takie nieszlachetne, takie złe uczucie! Dość raz dać mu dostęp do serca a na zawsze zarazi je jadem.

Stefan, oszołomiony upadkiem, nie mógł w pierwszej chwili ocenić całej okropności swego położenia.

Potłukł się, ale nie złamał żadnego członka. Groziła mu jednak najstraszniejsza w dziejach męki ludzkiej śmierć, śmierć głodowa. On jej nie przewidywał jeszcze, ale widmo stare jak sam świat, siedziało zazajone i czekało chwili, kiedy żywcem pogrzebiony człowiek zacznie odczuwać jego obecność.

Stefan wyprostował zbolące członki i spróbował chodzić po jaskini. Mogła stać się ona dla niego grobem. Obszedł kilka razy więzienie, obmacał ściany, chciał zaczepić ręce o wystające korzenie drzew i wyjść na powierzchnię, ale korzenie kruszyły mu się w palcach, a ściany były śliskie od wilgoci.

Próbował wzywać pomocy, nikt nie odpowiadał na jego wołanie, zamilkł, gdyż bał się zwabić Indyan. Wyteżył słuch, żeby pochwycić szelest lub głos zwiastujący obecność ludzi w pobliżu. Ale na dnie dołu panowała grobowa cisza, cisza nieznośniejsza od najgłośniejszego turkotu. Ten tylko, kto był pod ziemią, może zdać sobie sprawę z wrażenia, jakie robi zamilknięcie wszelkich głosów. Upadł wyczerpany na dno jamy, czy usnął? Nie wiedział, stracił pamięć zaszłych wypadków. Ten stan pół martwoty trwał długo, zbudził się z niego usłyszawszy pisk, do pisku głodnego dziecka podobny.

— Cóż to być może? — zawołał odzyskując przytomność. Wyciągnął przed siebie ręce i namacał małą, dygocącą ze strachu, małpkę. Wpadła do jamy w czasie jego snu. Znał takie, bo robiły szkody w Sixtenlots, koloniści opędzali się od nich niestannie.

Zwierzątko piszczało coraz żałośniej, musiało być potłuczone. Stefan wziął je na ręce, ogrzał pod kurtką i głośko pieszczołtliwie. Było mu raźniej z małpką. Uczuł, że jest silniejszy, że należy myśleć o ratunku.

Sięgnął do kieszeni i omal nie krzyknął z radości, znalazł pudełko zapalek. Nosił je zawsze przy sobie, nigdy jednak nie miały dla niego tej wartości, co dziś.

Światło! Zaden dar Boży porównać się nie da ze światłem, wiedzą to ludzie pozbawieni wzroku. Pamiętacie o nich wy szczęśliwi, którzy cieszyacie oczy widokiem cudów stworzenia, widokiem ukochanych osób.

Ręce Stefana drżały, bał się zepsuć zapalke, płomień rozjaśnił na chwilę jamę, była ona niestety bardzo głęboka. Małpka patrzyła także w górę, wydostanie się z więzienia przedstawiało nawet dla niej wielką trudność.

— A jednak wyjdę stąd, muszę wyjść — myślał Stefan.

Zrobił przegląd swoich kieszeni. Inwentarz jego bogactw okazał się pomyślnym, miał przy sobie butelkę z koniakiem, tę samą butelkę, z której krzepił rannych w baraku. Chciał potem ratować Sępa.

Znalazł jeszcze nóż, kawałek sznurka, parę złamanych gwoździ i kłębek z niemi. Schował wszystkie te przedmioty, miały one dla niego niezrównaną cenę.

— Ocalę siebie i małpkę, kiedy ma do mnie zaufanie. To także znajda bez matki — mówił nadrabiając humorem. Postanowił cierpliwie czekać na pomoc, którą dadzą mu z Sixtenlots.

— Dadzą niezawodnie — powtarzał upewniając się sam w raz powziętej nadziei.

— Gdyby wiedzieć przynajmniej, ile czasu upłynęło odkąd tu jestem, a ja nie rozpoznaję nawet dnia od nocy. Na dnie najgłębszej studni odbija się przeciw światło słońca i gwiazd — myślał podnosząc głowę, żeby dojrzeć blask poranku, lub promień księżyca. Niestety, studnię Stefana ocieniały gęste konary drzew i zwoje lian, jakże mogła dostać się do niej jasność dnia? Drzewa zapuściły korzenie w głąb ziemi, Stefan macając jamę poczuł, że wystają ze ścian kawałki poplątanych kłaczy, grubsze od tych, które znalazł przy pierwszym poszukiwaniu. Natura, tkacz Boży, snuje nić życia od przepaścistych otchłani, aż do podniebnego wierzchołka cedru lub dębu, czyżby dla niego tylko miała być macocha? Botokudowie żyją przeciw ziemią i korzeniami, a ja mam jeszcze koniak. Wytrzymam gdyby nawet długo przyszło czekać pomocy — myślał oglądając zawartość flaszki.

(d. c. n.)

ZE ŚWIATA.

Koronacya. Gdy król angielski, Edward VII wrócił do sił i zdrowia, odbyła się d. 9 b. m. tak dawno oczekiwana koronacya jego, wraz z małżonką Aleksandrą. Uroczystość ta nie była wcale tak wspaniałą, jak to w czerwcu za-

mierzano, nie było bowiem zjazdu monarchów Europejskich, ani królów lub książąt Azjatyckich i Afrykańskich, a tylko obecnymi byli dostojnicy angielscy, i rodzina panującego domu. Na ulicach towarzyszył pochodowi lud, z zapalem witający swego monarchę. Arcybiskup Canterbury dopełnił koronacyi w Opactwie Westminsterkim, kładąc Edwardowi VII koronę, tak zwaną św. Edwarda. Jest to obręcz szczerozłota na której mieszczą się 3 krzyże, przedzielone liliami; na ich wierzchołkach spoczywa znowu obręcz tak samo zakończona krzyżami, całość zdobią piękne brylanty. Królowę koronował arcybiskup York.

Edward VII obejmuje rządy po matce swej królowej Wiktorji I, księżniczce Kent, której znowu dostał się tron angielski niespodziewanie po stryju, królu Wilhelmie IV.

Pod jej łagodnym i rozumnym rządem uśmierzyły się niezgody stronnictw politycznych, które oddawna kraj wyniszczały, a rozwinął się wspaniale przemysł i handel, stawiając Anglię w rzędzie pierwszych mocarstw i zapewniając dynastji miłość narodu.

Album księżniczki Jolanty. W Rzymie wystawione jest obecnie na widok publiczny olbrzymie album, które dzieci rzymskie z najbliższej okolicy złożą w darze córeczce królewskiej, księżniczce Jolancie. Album zawiera fotografie tysiąca przeszło rówieśniczek księżniczki, oprawiony jest w skórę wyciskaną i pargamin, bogato złotem ozdobiony, a spoczywa w szkatułce z drzewa orzechowego na srebrnych nóżkach, ze srebrnym herbem sabaudzkim na wieku.

S Z A R A D A .

(Malina).

Dwa są przyimki: *pierwsze i trzecie, Drugie, trzecie i czwarte*, dar komuś składany, *Czwarte* przysłówek, gdy czego nie chcecie, *Wszystko* ma od nas nasz ojciec kochany.

KRYPTOGRYF LITERACKI.

Żabka z nad Rosi dla Mani.

Do nazwisk podanych niżej autorów, wynaleźć po jednym tytule ich powieści, aby pierwsze litery tych utworów, złożyły tytuł powieści Teresy-Jadwigi.

Sienkiewicz, Kowerska, Porawska, Orzeszkowa, Belza, Morawska, Prus, Przyborowski, Zaleska.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32.

Szarada: O — stróż — ka.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośzeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Nieprzyjacieli się zbliża (ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Tycho de Brahe (z portretem. — W Suchowskim dworze, przez Zofję Kowerską (dok.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata: Koronacya Edwarda VIII-go (z portretem) — Łamigłównki i rozwiązanie. — Dodatek: O Bubulisi i jej braciszku Bubu (z ryc.) — A witajże nam witaj! przez Z. Morawską. — Niewidomy chłopczyk, wierszyk przez W. B. — Co znalazłem w błotach i kałużach przez Maryę Weryho. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów

Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

O Bubulisi i jej braciszku Bubu.

I.

Mamusia ma ich tylko dwoje, a oprócz nich ma śliczny dom z ogrodem na wsi i starą niańkę, która ją samą wypiastrzyła, a która pilnuje Bubulisię i jej braciszka. Bubulisia i Bubu pędzą życie wesoło. Cały dzień, jeżeli pogoda, bawią się w ogrodzie, w szerokiej alei, albo w kącie podwórza, gdzie leży wielka góra piasku; kopią łopatkami, sypią piasek do małych wiader, albo robią z niego babki, takie ładne, że aż ochota bierze zjeść kawalek. Nianusia siedzi pod drzewem i pilnuje.

Dzieci lubią też chodzić do stajni, gdzie Józiek, chłopiec stajenny czyści i poi, i karmi „Grzesia” i „Grzesiową,” gniade koniki, które tatuńcia codzień odwożą do kolei i przywożą wieczorem. Bo tatuś cały dzień jest w Warszawie, gdzie pracuje na to, żeby dzieciom nic nie brakowało. Dobry tatuś. Często też idą dzieci z Józiem, gdy prowadzi Grzesiów do sadzawki za ogrodem na polu i pławi je w zimnej wodzie. Grześ i Grzesiowa parskać, gdyż lubią tę kąpiel; grzeczniejsze od wielu dzieci, które płaczą, bojąc się zimnej wody. Nie wytykam nikogo palcem, ale wy wiecie, czytelnicy, że bywają takie dzieci. Niechże pomyślą o gniadych Grzesiach i niech się zawstydzą.

Jednego dnia nianusia poszła pomagać przy smażeńiu konfitur i zapowiedziała dzieciom, żeby nie odchodziły od piasku. Wraca — dzieci niema. Woła — nikt się nie odzywa. Zaczyna szukać po dziedzińcu, w ogrodzie, niema dzieci. Józiek z Grzesiami pojechał na stację, w stajni też pusto. Mama, nianusia, kucharka i pokojowa chodzą i wołają, aż wreszcie za szpalerem ogrodu

mama spostrzeżę na łące, nad sadzawką, Bubulisię i Bubu schylonych nad wodą, pod spuszczonej gałęzią olszyny. Bubulisia trzyma w rękę duży patyk i ciągnie go przez wodę, a woła przytem: „Hoolaaa!” tak jak Józiek woła na Grzesiów. A Bubu leży nad samym brzegiem wody i trzyma zanurzony w niej drugi patyk. Mama dobiega i pyta co robią.

— Grzesia trzeba byjo spjawić, bo gojaco! — odpowiada Bubulisia. A Grzesiowej chce się pić, dodaje, pokazując patyk braciszka.

Mamusia mimowoli się uśmiecha i mówi:

— Niech dzieci nie chodzą nad wodę bez mamusi nigdy! bo jak to zrobią, to różeczka przypomni, że niewolno...

B. B.

A WITAJŹE NAM WITAJ!

Wadować wozy, nie zapominać o niczem, zabrać wszystkie moje i królewicza szaty! — woła na dworzan i służbę królowa Ryxa, wdowa po Mieczysławie II, a rodem Niemka.

Sama zaś chodziła po wszystkich komnatach królewskiego dworca, skrzętnie kosztowności zbierała i układała w skrzynkę z różanego drzewa.

Wemknęła się też do skarbcza, zabrała królewską koronę, włożyła ją również do skrzynki, zamknęła, a klucz na złotym łańcuszku włożyła na szyję i za suknię schowała.

Wtem wszedł syn jej Kazimierz, ośmnastoletni już młodzieniec i rzekł:

— Kochana matko, pocóż każesz i moje rzeczy zabierać, powinienem zostać w kraju i rządy po ojcu sprawować...

— Ani mi się waź! — przerwała mu gniewnie Ryxa. Niechętnie mnie tutaj widzą, wszystkich Niemców w łyżce wody utopiliby, a i na ciebie krzywo patrzą — mówiła dalej królowa.

— Jedni krzywo patrzą, drudzy potrzebują mojej opieki — odrzekł Kazimierz. — Nie gniewaj się więc matko kochana, ale wyjechać z tobą i kraju opuścić nie mogę.

— Siedźże więc w tym swoim kraju! — zawołała gniewnie Ryxa. I zabrawszy wszystkie skarby i królewską koronę, wyjechała do Niemiec.

Wkrótce w kraju rozpoczęły się rozruchy, Kazimierz zaś widząc, że nie zdoła ich uciszyć, rzekł sobie:



— Młody jestem, nic jeszcze nie umiem, wolę wyjechać z kraju. Gdy rozpatrzę się po świecie, nabędę rozumu, łatwiej będę mógł do ludu przemówić i lepiej potrafię rządzić krajem.

I wyjechał.

Był jakiś czas na Węgrzech, podróżował po Niemczech, a że nie chciał próżnować, postanowił czas swego tułactwa na naukę obrócić.

Wtedy nauką zajmowali się głównie zakonnicy; nawet królowie nie umieli czytać i pisać, nic więc dziwnego, że nie umiał tego i Kazimierz. Osiadł więc w jakimś klasztorze i tam bardzo pilnie się uczył.

Tymczasem rozumni i spokojni ludzie, którzy chcieli wszystkie kłótnie i niepokój w kraju zakończyć, rzekli:

— Trzeba wyszukać Kazimierza, syna Mieczysława II-go, może on też się wdał w dziada swego, Bolesława Chrobrego, niechaj wróci i niech rządzi narodem.

I jak powiedzieli, tak uczynili, przybyli w poselstwie do Kazimierza. Ten, gdy ich zobaczył, aż się rozplakał z radości i zawołał:

— A niechajże wam Bóg da zdrowie, żeście mnie odwiedzili!

— Nietylko, żeśmy cię, miły królewiczu, przyszli odwiedzić, ale prosimy, żebyś do nas powrócił, kłótnie i niepokoje uciszył i nad krajem jako przystało, panował.

Kazimierz zamyślił się i rzekł:

— Moi mili bracia, chciałbym godnie sprawować rządy, a przy pomocy Bożej i dobrych ludzi, może mi się jakoś uda ład i porządek w kraju zaprowadzić.

Posłowie podziękowali Kazimierzowi i wkrótce razem z nim do kraju przybyli.

Lud znękanym ciągłymi kłótniami, witał go bardzo serdecznie, i śpiewał na jego cześć pieśń, która się zaczęła od słów:

„A witajże nam witaj miły gospodynie.”

Kazimierz panował od 1040 do 1058 roku, kłócących się pogodził, w całym kraju porządek zaprowadził; budował kościoły i został nazwany *Odnowicielem!*

Z. Morawska.

Niewidomy chłopczyk.

Matko powiedz, ukochana!

Jak się wiosną łąka kwieci?

Jak to zorza płonie z rana?

Boże słonko ludziom świeci?

Próżno wznosząc wciąż powieki,

Patrzę, patrzę nadaremnie;

Niema światła! Ach! na wieki

W koło zawsze takie ciemnie!

Jakże chciałbym gwiazdki małe

Na błękitnym widzieć niebie!

I te kwiatki żółte... białe...

A nad wszystko ujrzeć ciebie!

Pieśń twa do snu mię kołysze,

Jak słowika śpiew tak samo,

A zbudzony znowu słyszę,

Jak się modlisz za mnie mamó!

Wszak i drobny owad przecie,

Widzi drzewa, łąki, kwiatki,

A ja biedne, biedne dziecię,

Ja nie widzę drogiej matki!

Dobry Boże! co łask tyle

Siejesz szczerą dłońią swoją!

Daj mi w życiu choć na chwilę,

Daj oglądać matkę moją!

W. B.

Marya Weryho.

Co znalazłem w błotach i kałużach?

19. W szpitalu.

Była godzina druga, kiedyśmy weszli do gmachu szpitalnego. Długi bardzo korytarz prowadził do klatki schodowej.

Kilka zakonnice w białych kornetach, minęło na prędko, niosąc lekarstwa dla chorych.

— Którędy mamy przejść do sali trzeciej? — spytał ojciec jednej z Sióstr Miłosierdzia.

— Na pierwsze piętro, proszę pana — odpowiedziała, nie zatrzymując się.

Weszliśmy na schody, i tu znowu ujrzałem na prawo i na lewo duże sale, w których leżeli chorzy. Ciskała tu wielka. Od czasu do czasu tylko dolatywały nas jęki chorych, a wtedy jakiś dziwny strach przejmował mię mimowoli, zbliżyłem się do ojca, biorąc go za rękę.

Wchodzimy nareszcie do sali trzeciej; duży to pokój, w którym dwoma rzędami ustawiono żelazne łóżka a przy trzeciej ścianie mały ołtarzyk z wizerunkiem Matki Boskiej.

Chorzy ubrani w szare płaszcze, mieli wygląd bardzo smutny. Jedni leżeli a drudzy siedzieli na łóżku. Przykro było patrzeć na tych schorowanych, słabych ludzi.

Szukałem oczami mego dziadka i poznać go nie mogłem, dopiero szarytka wskazała nam jego łóżko w kącie sali.

Nigdybym go nie znalazł, tak się staruszek zmienił bardzo był blady i tak osłabiony, że zaledwie mógł mówić.

Ojciec przedstawił się choremu i spytał o zdrowie. Starzec spojrział na niego.

— Dziękuję odrzekł cicho — Bóg zapłać, ciężko.. Potem spojrział na mnie i łzy mu stanęły w oczach.

— Dobre dziecko, pocziwy chłopiec z ciebie.. niech ci Bóg błogosławi, żeś mnie odwiedził.. Powiedz.. cóżeś tam nowego znalazł.. w błotach naszych.. — mówi dalej, ciężko oddychając — bo to.. proszę pana.. duże rzeczy wspólnie poznaliśmy.

Opowiedziałem wszystko memu staruszkowi; o po darku, jaki od ojca dostałem, com widział przez lupę; opowiedziałem, com tylko spał. A chory słuchał i o czasie do czasu uśmiechał się do mnie.

— Niech no tylko wydobrejże, zaprowadzę cię...

Wtem kaszel zaczął go męczyć i nie pozwolił mówić dalej. Siostra Miłosierdzia zbliżyła się wtedy, podała lekarstwo choremu i powiedziała nam, że dziś już dłużej rozmawiać nie można, gdyż to choremu szkodzi.

Pożegnaliśmy staruszkę i przyrzekliśmy przyjść znowu w niedzielę. Przytem tatuś pozostawił dla niego wino i koszyczek owoców.

Wychodząc spostrzegłem, że nad każdym łóżkiem wisiała tabliczka, na której był numer i coś jeszcze po łacinie.

Tatuś powiada, że jest to nazwa choroby. Muszę przeczytać, jaka choroba gnębi mojego dziadka. O! jak smutno w szpitalu, nie chciałbym tam chorować.



Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

Przymknął oczy, lecz wnet je otworzył.

— Jak to wszystko prędko się rusza; słupy, drzewa, domy, wszystko ucieka. Dlaczego ucieka? O Jezzu, Jezzu! co to on widzi takiego, i co to się robi na świecie, żeby tylko Brzezinki gdzie nie uciekły, bo gdzieżby on je znalazł? Ale czemu Mira nic nie mówi? Czy Czardaj kazał ich zawieść do jakiego gorszego jeszcze kuglarza? Niedobra Mira, czemu usłuchała Czardaja? z namiotów byłby sobie kiedy niepostrzeżenie wyszedł a idąc o żebranym chlebie, doszedłby może nareszcie do swoich, a tak to pewnie na zatracenie. Oj niedobra, niedobra Mira!

Usnął. Dziewczyna podsunęła mu pod głowę swój płaszcz i wyciągnęła nogi na ławce.

— Śpij — szepnęła — odpocznij, bo musisz być silnym, odważnym, sprytnym, ale też dobrym i czułym! O Ralfie, Ralfie, mój chłopcze, czy tylko potrafisz być naprawdę dobrym dla Nelly?

Skurczyła się na ziemi obok śpiących dzieci i ukryła twarz w dłonie.

Pociąg na stacyach zatrzymywał się krótko, był to kuryer, najszybszy, jaki dążył do Presburga, tam mieli się zatrzymać.

Dniało! Na niebie zaczęły się pokazywać blade-różowe obłoczki, wśród szarej mgły wyglądały jakby zabłąkane, przybyłe z innego, lepszego świata, wróżąc szczęście. Mira nie wiedziała, czy one je przyniosą, ale wiedziała, że zwiastują dzień i że za kilka minut pociąg się zatrzyma. Zbudziła dzieci, przyglądała im włosy, włożyła płaszcze i sama swój zarzuciła na ramiona.

— Gdzie jesteśmy, Miro? — spytał Wojtaszek.

— W Presburgu, dużym, ładnym mieście węgierskim.

— A gdzie nas zaprowadzisz — dodała mała Nelly, wyspana, różowiutka, patrząc z uśmiechem w oczy dziewczyny,

czyż, czy pójdziemy do Czardaja? Powiedz, oddasz mnie znów jemu, chcesz, żebym płakała?

— O nie, nie chcę dziecino, bądź spokojna, nie dam cię Czardajowi! Pójdziemy do hotelu, pewnie jesteście głodni?

Oboje uśmiechem i skinieniem głowy odpowiedzieli, że tak.

— To też niezadługo będzie kawa z bułkami.

Pociąg zatrzymał się, wysiedli, a dorożka wiozła ich dalej przez puste jeszcze i spokojne ulice miasta. Twarz Wojtaszka wyrażała ogromne zaciekawienie pomieszane z radością. Wszystko zajmowało go, podobało mu się, więc głową kręcił, jakby ją miał na śrubach. Mira stanowiła sprzeczność. Jej czarne, wielkie oczy, z nadmiernie rozszerzonymi źrenicami zdradzały trwogę; rzucała spojrzenia pełne obawy i niepokoju, jak sarna broniąca swych małych przed strzałem myśliwego.

— Ralfie, czemu zsuwasz kapelusz z czoła? Nasuń go na oczy i kołnierz od płaszcza podnieś w górę, ranek zimny, proszę, zrób to zaraz, mój chłopcze.

Mała Nelly całą twarzyczkę miała zakrytą, Mirze z pod kaptura tylko oczy świeciły.

Według jej obliczeń, jeśli w namiotach spostrzegli jej nieobecność i dzieci, pościg mógł być już w drodze, około południa ktoś tu będzie, teraz jeszcze niemożliwe! Uspakajała się, a jednak niepokój ją ogarnął.

— A jeśli ojciec przyjechał tym samym pociągiem co i oni? Mógł to zrobić, nie spostrzegła go, bo ruch był ogromny na stacyi? Hagiel z Kulimem na pewno są jeszcze w Peszcie.

Stała w jednym z tańszych zajazdów, nakarmiła dzieci, zamknęła na klucz i sama wybiegła na miasto. W godzinę wróciła niosąc dwie paczki. Było to ubranie dla Wojtaszka i sukienka dla dziewczynki.

— A teraz proszę się w to ubierać, tylko prędko — mówiła spiesźnie — ty Ralfie, masz kurtkę granatową i kapelusz z piórkiem, Nelly niech włoży tę ciemną sukienkę i na to płaszczyk. Dobrze, tak, bardzo dobrze, zupełnie jak dzieci miejskie, nie komedyjanci!

Rozwinęła mały węzełek przywieziony z sobą. Była w nim czerwona sukienka Nelly, ta sama, w której występowała, różowe pończoszki, złote pantofelki i takaż czapeczka. Ułożyła wszystko starannie, związała napowrót i przywołała do siebie Wojtaszka. Ręce jej drżały, była wzruszona.

— Czego chcesz ode mnie, Miro? — zapytał z niepokojem.

— Czego chcę, o, wielkiej, wielkiej rzeczy, drogi Ralfie, chcę, byś naprawił złe, jakie popełniłam.

— Żebym naprawił — powtórzył, nie rozumiejąc o co rzecz idzie — coś ty zepsuła?

— Zepsułam szczęście matki, ukradłam jej dziecko, a ty musisz je zwrócić.

— Ty, ty Miro, taka dobra, nieprawda, nie wierzę!

Wstrząsnęła smutnie głową.

— Nie wierzysz, mówisz, że jestem dobra, oj, dziecko, dziecko z ciebie! ja nigdy nie byłam i nie jestem dobrą. Ale posłuchaj mojej smutnej historii.

— Wiesz, bo słyszałeś już nieraz powtarzane opowiadanie mego ojca, że trupa nasza wędrowała z kraju

